Nr. 8. Lwów dnia 23. Marca 1872. **Rok I.**

Wychodzi w każdą Sobotę.
Cena prenumeracyjna w całej Austryi: rocznie 8 złr.—półrocznie 4 złr. — kwartalnie 2 złr. w Niemczech: rocznie 5 tal.—półrocznie 2 tal. 15 sgr. kwartalnie 1 tal. 8 sgr. we Francyi: rocznie 21 fr.—półrocznie 11 fr. — kwartalnie 6 fr. Numer pojedynczy 20 ct.
Redakcya: Ulica wałowa Nr. 19.

ŚWIT

TYGODNIK NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Główne ajencye: we Lwowie księgarnia K. Wilda, w Krakowie księgarnia J. Wilda, w Poznaniu księgarnia J. K. Żupańskiego.
Rękopisy nie przyjęte do druku zwracają się w razie zażądania.
Szanownych autorów i nakładców, życzących sobie znaleść w „*Świcie*“ wzmiankę lub rozbiór krytyczny swych dzieł prosimy o nadsełanie Redakcyi egzemplarzy takowych

O satyrykach polskich XVII wieku,

studyum literackie

przez

Dr. Adama Bełcikowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Andrzej Rysiński.

Za panowania Władysława IV, niewiadomo w którym roku, wyszła niewielka broszura p. t. „Satyr polski na twarz dworską,“ gdzie pod dedykacyą Dobiesławowi Cieklińskiemu podpisał się jako autor And. Rysiński.

Zwykle w historyi literatury na wiarę kogoś, co się rzeczy bliżej nie przyjrzał, podawano tę satyrę za pierwsze wydanie drugiej p. t.: „Satyr na twarz Rpltej. w r. 1640.“ Być może, iż rzadkość tych Satyrów stała się przyczyną błędu, albowiem drugi z powodu widocznej przychylności dla Lutrów, a niezbyt przyzwoitych wyrażeń o duchowieństwie był niszczony. Rzecz się ma jednak inaczej. Pierwszy Satyr jest tylko krytyką na zwyczaje dworskie, na górny animusz, intrygi wzajemne i rozrzutne życie dworaków—co już sam tytuł powinien był pokazać. Drugi zaś maluje ujemne strony całego społeczeństwa, wady w rządzie, zbytki rozmaitych stanów itp. Podobieństwo pomiędzy nimi zachodzi tylko co do formy naśladowanej z Kochanowskiego, bo w obu wprowadzeni są na scenę satyrowie przemawiający do czytelnika.

W takim więc razie trudno wyrzec z taką pewnością, jak to dotąd czyniono, że autorem drugiego Satyra jest także Rysiński. Przemawia jednak za tem pewna analogia między oboma pismami i przyrzeczenie, którego się należy domyśleć ze słów Satyra dworskiego, że autor i o ogólnym stanie Rpltej pisać zamierza. Tym sposobem satyry te byłyby dopełnieniem się wzajemnem, nie są zaś jedną i tąż samą.

„Satyr polski na twarz dworską“ mniej zasługuje na uwagę z powodu swej obojętniejszej treści; ważniejszym nierównie jest drugi. Powiedzieliśmy, że formy pożyczył sobie autor od Kochanowskiego; był to zresztą sposób pisania satyr bardzo upowszechniony. Co do treści zaś ustaje wszelkie podobieństwo z Kochanowskim. Rysiński idzie dalej tym torem, na który wszedł już był Klonowicz, zaprawiając swe słowa nie attycką solą ale goryczą żółci. Pod tym względem stoi on na równi z Opalińskim i tem tylko różni się od niego, że nie tak szczegółowo wystawił wszystkie stany i wszelkie stosunki życia. Inne czasy innych też miały poetów niż szczęśliwsze wieki Zygmuntowskie, gdzie złe chociaż nieraz już widoczne, zasługiwało tylko na łagodniejsze napomnienie albo karcone było rubasznym humorem Reja.

Na samym wstępie autor mający już w głowie cały ponury obraz, jaki o obyczajach i przywarach swych ziomków nakreślić zamierzał, zastanawia się nad sobą i pyta:

Mówić mam czy zamilczeć?...

To jedno, krótkie pytanie pozwala nam odrazu domyśleć się zatrważającej treści — przeczuwamy ją już na pierwsze wejrzenie. Autor jednak dla miłości prawdy i pożytku swych ziomków nie cofa się od swego zamiaru, gotów nawet drogo przypłacić swoją szczerość:

Prawdy jednak nie myślę ustępować kroku,
Choćby mi i nadstawić przyszło dla niej boku
I głowę z szyją rozwieść......

Uwagę jego zwraca naprzód na siebie sejm, od którego dobroci w podobnem jak Rplta polska społeczeństwie, zależała pomyślność i byt całego kraju. W sejmie widzi prywatę przeważającą nad dobrem ogólnem, brak zdrowej i życzliwej rady, próżne trwonienie czasu na czczych oracyach i gadaninach, niesforność i upór przy swem zdaniu, który prowadzi do rokoszów i zrywania sejmów:

.........Cóż, czy i pełnemi
Nie mówimy gębami, że czasem samemi

Ruszamy i murami i Izba jak w wrzawie,
A wszystko o wolnościach i o praw poprawie?
Dawnoż one Rokosze drudzy pamiętamy,
Dawno już to po dwakroć sejmy rozrywamy,
I czasem tak w fakcyach rugujem się sami,
Że roznosić na szablach, że się i oknami
Zrzucać chcemy? A tylko jakobyśmy cali
Pieszczoną tę swobodę swą ukołysali.

Wytyka potem dalsze wady w zarządzie Rpltej: niepłacenie żołdu wojsku, kupowanie urzędów i cudzoziemczyznę, która wygnała z obyczajów dawną prostotę, a z serca szczerość i wzajemną ufność. Tą cudzoziemczyzną dwór królewski się zaraził, biorąc ją za modłę swych zwyczajów i moralności.

Siła było i innych mów pomiędzy nami
O tej dworskiej ślizkości, jako personami
Niegodnemi koronne stolki zasadzone.
Cudzoziemcy pokoje jak trzciną natknione,
I nikt się do prezentu i choru nie zgodzi,
Tylko kto po francusku, kto po włosku chodzi.

Pełno tam pochlebców i owych polityków, którzy przejęli się zasadą Machiawela:

To jest myśl mieć wesołą, czoło otworzone,
Oczy jasne każdemu a serce zamknione;
Albo gdzieś i z Owena *) umieć upatrować
Oko pańskie i cerę i akkomodować
Zgoła mu się we wszystkiem......

Następnie powstaje na sprzedajność sądów, szczególnie zaś w ohydny sposób maluje deputatów na trybunał lubelski. Trybunał ten często spotykały podobne, widać zasłużone zarzuty. Rysiński odsłania rozmaite sposoby, nieraz najniemoralniejsze, jakich się chwytali klienci dla zjednania sobie przychylnych głosów deputatów:

Prosząc naprzód na bankiet z paniami pospołu,
Gdzie przy winie gorącym u strojnego stołu
W znajomości zachodzą i braterstwa nowe,
Spore na to kielichy pełniąc kryształowe.
Tamże słuszność spraw swoich za każdą podaną
Rozwodzą, okazują, ani nie ustaną,
Aż wszystkich na nieswoich nogach rozprowadzą.
Choć czasem i drugiego na Tureczka **) wsadzą,
Co nigdy się nie wróci; drugiego polano
Że polewką umyślnie, ***) aż za to posłano
Rysią mu ferezyą. Drugim, księży zwłaszcza,
Nie żaden wstyd po_trzeźwu upomnieć się płaszcza,
Drugim poszła to wódek, to Piotrkowskich krupek
Na złocistych miednicach, choć się tych skorupek
Nie upomnią na wieki. Drugim podrzucają
Konwie srebrne i czary, a choć się gniewają
I chcą w rzeczy wyrzucać, przecie pod oknami
Rzadko gdzie ich znajdują. A jeśli nie sami,
Nie pogardzą przynajmniej panie Deputatki.

Używali klienci jeszcze i innych niegodziwszych środków, przywodząc deputatom swoje córki i żony... A Rysiński musiał prawdę powiedzieć, bo oskarża ich o toż samo i późniejszy o sto lat satyryk Antoni Poniński. (Sarmaticus seu Satyrae.)

Postawiwszy tym sposobem występki publicznego życia pod pręgierz, wiele grzechów znajduje autor i w prywatnem. Zaczyna od kobiet. Gani przyjmowanie stroju cudzoziemskiego, na który sadzą się nawet chude szlachcianki. Mężatkom wyrzuca pokątne miłostki, matkom złe wychowanie i zły przykład dawany córkom, które od najpierwszej młodości nabierają smaku do zakazanego owocu, słuchając chętnie mów nieprzyzwoitych i wdając się w tajemne rozmowy z męską młodzieżą. U mężczyzn powstaje na powszechną i długo za narodową prawie uważaną wadę, tj. na zbytki w bankietach i pijatykach:

Że na jednym bankiecie dział z ojczyzny wszytek
Pożre drugi, i na co krwawy pot wytłoczy
Z czoła Ociec, on oraz marnie to roztoczy.
I uleje pawiment w rynsztok Malmazyą,
Jakoby gdzie Tokaje albo miał Kandyą.
Kuchnia śmierdzi perfumy cynamonowemi,
Gdzie tylko zwierzynami na zuchwał samemi
Od jeleni i łosi zastawione stoły;
Tychli nie masz, to w o c t a c h całe czasem woły
Kruszą w i n n y c h. Z cukrów zaś, faryn i migdałów,
O! jakich tam nie robią dziwnych specyałów,
Gdy nietylko bażanty i strusy i pawie
I co lata po wietrze i chodzi po trawie,
Ale morskie baleny, foki i delfiny,
I inne tam formują nagie Meluzyny.

Chłoszcze także i przeciwną wadę, t. j. sknerstwo i chciwość, o co najwięcej dygnitarzy kościelnych obwinia, powiadając, że spędzają żywot na próżniactwie i bawią się lichwą.

W ogóle obraz tego czasu o dwa przeszło wieki od nas oddalonego, a w którym my widzimy zwykle samą prostotę, prawość sumienia i moralność, w ponurych barwach został odmalowany przez Rysińskiego, tak że mimowoli powiedzieć sobie musimy: *tout comme chez nous!* Jednakowoż Rysiński naszkicował go tylko pierwszemi liniami — wykończył go zaś z całą dosadnością i jaskrawością kolorów w niewiele lat po nim wojewoda poznański

Krzysztof Opaliński.

Opaliński pochodził z rodziny starożytnej od XII już wieku zapisywanej na kartach historyi, ale nadto odznaczającej się często gruntownem wykształceniem, dobrą głową i miłośnictwem nauk. Takim był Łukasz Opaliński, młodszy brat Krzysztofa, o którym mówiłem wyżej, takim stryj ich Jan, „wielki miłośnik i tłómacz Tacyta,“ po śmierci ojca opiekun Krzysztofa od 14 roku jego życia. Sam Krzysztof odebrał wyższe wykształcenie za granicą, zwiedził Włochy, a uczył się szczególnie w Lowanium, gdzie już stosunki z uczonymi ludźmi zawiązał. Powróciwszy do kraju, mając mało co więcej nad lat dwadzieścia, przemawiał często na sejmikach, a zawsze „uczenie i śmiało.“ W dwudziestym ósmym roku życia został już wojewodą poznańskim i w tym to czasie pisze o nim Ks. Albrecht Radziwiłł w swym pamiętniku, iż dał się słyszeć „Wojewoda poznański Opaliński, pierwszy raz zasiadłszy krzesło senatorskie, w wymownej ale przesadnej i za oklaskiem goniącej mowie.“ Opaliński występował w opozycyi przeciw królowi Władysławowi IV i ztąd jednał sobie wziętość między szlachtą. Niedługi tylko czas w 1645 r., gdy jeździł w poselstwie do Francyi po Maryę Ludwikę, zostawał w lepszych z dworem stosunkach. Pogorszyły się one stanowczo ze śmiercią Władysława IV. Jan Kazimierz został na tron po nim obrany, Opaliński zaś wszelkiemi siłami pragnął wyjednać koronę dla jego brata księcia Karola. Cofnął się zatem zupełnie od życia publicznego

---

*) Sławny autor epigramatów.

**) Na konia tureckiego, który potem zostaje przy deputacie dla zjednania sobie głosu.

***) Szyk słów taki: że (ponieważ) polano umyślnie polewką.

i w tym czasie r. 1649 tuż po pokoju Zborowskim (bo wspomina o nim w satyrach), siedząc w swym Sierakowie zdala od dworu oddał się zajęciu literackiemu. Owocem tego *otium* obrażonego magnata były „Satyry albo przestrogi do naprawy rządów i obyczajów w Polszcze należące,“ wydane po raz pierwszy w r. 1650 bezimiennie i bez miejsca druku. W innych wydaniach (a było wszystkich siedm czy ośm) zmieniono tytuł Satyr nazywając je to „Iuvenalis redivivus“ to „Icon animorum albo Zwierciadło.“ Późniejsze wydania, a mianowicie z r. 1698 są gorsze i niezupełne, bo opuszczono w nich satyry na duchowieństwo.

Pięć ksiąg satyr można, co do ich treści, podzielić na trzy rodzaje. Pierwszy, w którym przedstawione są ujemne strony życia prywatnego; drugi, który roztrząsa stan Rpltej., wytykając wady prawodawstwa i rządu; trzeci wreszcie tworzą rozprawy moralne w kształcie listów pouczających. Ostatni rodzaj z natury swojej najmniej zasługuje na naszą uwagę i bezwątpienia jest najsłabszą częścią satyr, bo w nim nie miał autor sposobności rozwinięcia swego daru spostrzegawczego i plastyczności obrazów. W tych to satyrach rozbiera on takie np. zdania moralne, jak: zadowolnienie z losu, cnota czyni szczęśliwym, mądry nie zważa na zdania gminu i t. p.

Ob[illegible]e daleko w treść i bez porównania wyższej wartości są[illegible]dwa inne rodzaje. W czterdziestu przeszło satyrach (bo pierwszy rozdział zaledwie ich pięć lub sześć liczy) karci Opaliński najrozmaitsze wady i występki wszystkich prawie stanów, czyli one czynią ujmę naturze, czy też przynoszą szkodę krajowi. Zła edukacya dzieci, zbytki i zepsucie kobiet i mężczyzn, fałszywe nabożeństwo lub oziębłość w wierze, lenistwo, samochwalstwo, pyszne nieuctwo, obmowcy, młódź wyrodna lub marnotrawiąca spuściznę po ojcach: oto przedmioty jego satyr kreślących życie prywatne. W ten sam szczegółowy sposób wystawione i sprawy publiczne. Są tu satyry: na bezkrólewie, na niesprawiedliwe rozdzielanie urzędów, na przeniewierstwo grosza publicznego, na brak obrony krajowej, na niekarność wojska, na powszechne pijaństwo i t. p.

W tych obszernych ramach wypowiedział Opaliński tyle złego o swych współziomkach, ile nigdy ani przedtem ani potem od nikogo nie usłyszeli. Odmówił on swemu wiekowi wszelkich cnót moralnych i politycznych, tak że mamy przed sobą obraz zepsucia i upadku, jak równego szukać tylko można w Perzyuszu lub Juwenalu, poetach w zgniliznę i rozkład przechodzącego starożytnego świata. Wrażenie z jego satyr tem silniejszy odnosi skutek, że autor nie złagodził ostrej i przerażającej nieraz treści zewnętrzną nawet formą. Jest ona szorstką i nieokrzesaną — a pominąwszy nawet brak rymu, który poezyi nadaje wdzięk i harmonię, w wierszu Opalińskiego nie widać żadnych innych znamion sztuki i artystycznego obrobienia rzeczy. Posiada on tylko jeden przymiot poetyczny, mianowicie plastyczność przedstawienia do wysokiego posuniętą stopnia. Plastyczność ta przypomina silny język Rejowski. Wszystkie postacie wprowadzane na scenę są pełne ruchu i życia — znać że ich obraz brany z rzeczywistości i schwycony na gorącym uczynku. Dlatego również nie czujemy, aby Opaliński miał najmniejszą chęć ich zidealizowania—nakreślone są one w całej swej nagości, z rubasznością właściwą charakterowi poziomych istot, a nieraz z całym ich cynizmem. (C. d. n.)

POD KRZYŻEM.

Życia drogą bieży dziecię
Zrazu rączo i wesoło,
Bo w około — bo w około
Pełno kwiatów — pełno woni
Młodą duszę poi, ludzi,
Bo zachodem i o świcie,
Gdy zasypia, gdy się budzi —
Piosnka szczęścia i swobody
Nad kołyską jemu dzwoni
I maluje mu jagody
W barwę wiosny — w uśmiech złoty.
Śród igraszki i pieszczoty
Coraz prędzej, coraz śmielej,
I rozkoszniej i weselej
Spieszy puste i szczęśliwe
Na szeroką życia niwę.

Biegną chwile — a po wiośnie
Mija wiosna znowu druga,
Wstęga dni się snuje długa
Coraz spieszniej — coraz dalej!
A na złudnej szczęścia fali
Dziecię-człowiek w ranku życia
Tak ochoczo, tak radośnie,
Śród żywego serca bicia,
Z pieśnią szczęścia i uśmiechem
Pośród marzeń, pośród szałów,
Rzewnych uczuć ideałów,
Z wolnem sercem i oddechem
Spieszy dalej, zawsze dalej!
Toż w młodzieńczej jego duszy
Jasny promień cichej cnoty,
Czystej wiary promień złoty
I miłości wdzięk jedyny
Odzwierciedla się czarownie.
A gdy struny on poruszy
Z barwnej złudzeń tych krainy,
Pieszczotliwe, czyste dźwięki
Z pod natchnionej płyną ręki
Tak rozkosznie, tak wymownie;
Echo miły rozdźwięk niesie
Po dolinie i po lesie,
Drży i cichnie — i umilka...
Ach! on prawie równo z echem
Gorzkim kończy pieśń uśmiechem!
Takie szczęście dla ziemiana
Mgnienie oka — jedna chwilka,
Bo z połysku ledwo znana
Życia wiosna już i minie.
Wdzięczna nuta w dal upłynie
I ucichnie i przedźwięczy,
Czarująca barwa tęczy
Młodej wiary, młodych marzeń
Pierwszych uczuć, pierwszych wrażeń
Rychło zblednie, posmutnieje —
Pociemnieją wnet nadzieje.
Lśniące blaskiem te bławaty,
Te wiosenne życia kwiaty
Wyrzucone z złudzeń szali —
Hej! bezbarwne — powiędniałe
Na burzliwą padną falę,
Znikną w ciemnych głębiach fali,
Szczęście z nimi pójdzie całe!
Bo nie ostać mu już w chacie!
Już nie cieszy go tam wcale,
Bo już ciasna — swojska strzecha
I powszednie — te postacie
I dziecinna — ta uciecha,
Co barwiła mu wiek młody.
Tam — w dalekiej obcej stronie
Inne szczęście, inne światy
I piękniejsze tam przygody,
W mękach rozkosz kraj bogaty,
Tam — do czynu rwą się dłonie!

O niebaczny! ledwo rzucił
Ciasne wioski swej granice,
Jakoś dziwnie się zasmucił

I przygasły mu źrenice
I schmurzyło młode czoło.
Zniknął urok! żal i trwoga
Wiedzie cichą myśl do Boga,
Podniósł oczy, lecz u góry
Zawisł obłok tam ponury —
Głucha przestrzeń legła w koło,
Dziko jakoś porośnięta,
Jakby martwa — jak zaklęta,
Jakby cmentarz załzawiona.
Kędy trwożne sięgnie oko
Ciemne ścieszki, błędne drogi
Śród przepaści gdzieś się wloką,
Stopę ostre ranią głogi,
Jakaś obca szpetna ręka
Śród dzikiego tam chaosu
Wznosi w górę się do ciosu!
A tam zdradna dłoń znów goni,
Jakieś drżące blade cienie
Gaszą świateł mu promienie.

Takaż straszna ta piosenka
I ten uśmiech co miał z nieba,
Że aż krwawej trzeba broni?
Takież groźne te nadzieje
I to szczęście, co się śmieje
Że aż zabić je potrzeba?!

Oj młodzieńcze! wracaj z drogi
W twą dolinę do potoka,
Macierz zkłute zgoi nogi
I zcałuje trwogę z oka,
Będziesz myślał, że to we śnie,
Na twej cichej spoczniesz grzędzie,
Będziesz śpiewał twoje pieśnie,
Dziewczę pieśni słuchać będzie;
A gdy z wiejskiej was wieżycy
Dzwonek zwoła do pacierza,
To wymodlisz przy dziewicy
Wasze szczęście tam u krzyża
I wybłagasz pokój ducha.

O zapóźno! on nie słucha —
Urok dziki, jakby czary
W te go błędne ciągnie jary,
Jakiś tajny głos go woła —
Chwilkę jeszcze w sercu waży
Myślą przebić rad zasłonę,
Co rozpięta tam do koła,
Widok śmiła mu zawiły;
W dłoni całą moc gromadzi:
Czy też dosyć będzie siły,
Czy też siła go nie zdradzi
Jeżli walczyć mu się zdarzy?
Czy do walki starczy męztwa
I nadziei do zwycięztwa?
Stój pachole, wstrzymaj kroku!
Bo bezsilna dłoń ściśnięta
I twa wola — chociaż święta!
Krew Ci światło zmąci w oku
I głos ciężkie zdusi łkanie
I tchu w piersiach ci nie stanie!!
Mam odchylić ci zasłonę?
Patrz młodzieńcze tu — w tę stronę:
Na północy — na zachodzie
Krwawe łuny tam się ścielą,
Sterty kości tam się bielą,
Czarne dymy w niebo biją,
Okrutników głosy wyją —
Pada krwawo ród po rodzie,
Ród po rodzie strasznie kona!
A tam drugi widok czeka:
Patrz! za mglistą tam pomroką
Coraz jaśniej choć zdaleka
W pogrzebowej odzian szacie
Krzyż wyciąga swe ramiona.
Czy poznajesz młody bracie
Postać krzyża tę wysoką?
Krzyż ów — wiernych niegdyś znamię,
Dziś odarty ze świętości
Nie zagrzewa wątłych męztwa!
Patrz, jak podle tylko ramię,
Skroń bezwstydna, pierś kamienna,
W jad szatańskiej silna złości
Wiedzie dzisiaj do zwycięztwa.
Tam, gdzieś uczył się pacierza,
Ciche modły Panu święcił,
Dziś tam przepaść jest bezdenna,
Gad plugawy się okręcił
U stóp świętych Twego krzyża,
Jadem w koło groźnie sięga
I modlitwie Twej urąga.
O! krzyż ten nad ziemię całą
I nad wszystkie niebios tęcze
I nad morza przestrzeń białą
I nad szczyty gór się piętrzy;
A krzyż ten jest dla człowieka
Nie wiem — karą czy zasługą.
Bo doń każdy ścieszką długą
Krwawych cierpień się przywleka.
Na tym krzyżu się przybija
Wiosna życia i marzenia,
Te uczucia i zapały —
Sny młodości — ideały,
Krzyża tego nikt nie mija
Bez boleści, bez omdlenia!
Płaczesz dziecię? ach nie bluźnij,
To nie koniec — ujrzysz późniéj!
Myślisz — krzywda tylko Tobie?
Patrz łza Twoja jakaż mała,
Co na krzyżu tam została!
Żal za lubą Ci piosenką?
Słuchaj dziecię ty z zagrody,
Oto w czarnej patrz żałobie
Legły całe tu — narody.
I Twój naród tu przybity
Już wiekową kona męką,
A tu męki jego godło!...

Biedny! stanął w chyżym locie,
W piersiach nagle go ubodło,
Skronie w zimnym skąpał pocie
Błędnem okiem w niebo wryty!
— Wielki Boże! hymny Tobie,
Com w tak cudne spajał dźwięki,
Ha! i puste te piosenki —
Toż śpiewałem je na grobie?!
O nieszczęsny! prochy święte
I to całe moje plemię
Jam wyszydzał pieśnią moją.
A to niebo tam rozpięte
Nie zapadło się na ziemię
I ja jeszcze tutaj stoję?!
I te z piekieł tam szatany
Co się ludzkiej krwi napiły,
Te Kaimy jeszcze stoją,
Kują ludy Twe w kajdany,
Zemsty Twojej się nie boją
A pioruny straszne Twoje
Podłych czaszek nie rozbiły? —
Biedny omdlał w chyżym biegu
Tam pod krzyżem i do koła
Darmo patrzy — darmo woła.
Ani lądu ani brzegu,
Gdzie go marzeń prądy rwały,
Gdzie go cuda spotkać miały
Szczęśliwości i swobody.

Bywaj zdrowy wieku młody!
Już po złudzie — po piosence —
Rzeczywistość to nie wieńce,
Co je młoda myśl uplata
I uczucia wstęgą spaja
I nadzieje w nie ustraja!

I cóż dalej? uśmiech krótki
Na ponurą postać świata,
No powiędłe róż kielichy
Rzucił drżący śród westchnienia;
W końcu jeszcze jak sieroty
Oddalone gdzieś pamiątki,
Dziś bez barwy, bez imienia
Do samotnej piersi tuli,
Łzą nad niemi się rozczuli,
Wspomni matki swej pieszczoty
I dziecinne błogie wiosny
I rodzinny domek cichy;
A łzą drugą żegna szczątki
Lutni, co mu dawniej brzmiała
I koiła życia smutki

I szerzyła spiew radośny.
O krzyż czarny dziś rozbita
Dźwięk ostatni tam wydała —
Dźwięk to żalu — skargi zwroty!

Długo — długo się kołysze,
Coraz dalej z echem płynie
Żal i skarga — lecz gdzie ginie?
I kto skargi tej wysłucha
Kto o szczęście tam zapyta,
Kto złagodzi mękę ducha?!
Cicho! zda się w odległości
Słuchem duszy czy tęsknoty
Tam od krzyża — głos ten słyszę:

„Jeźliś czysty Ty na duszy,
Gdy sumienia głos spokojny
Błogo w sercu Ci zagości
A zwątpienie go nie skruszy,
Gdyś w miłości Ty był hojny,
Bratu podał zbawczą rękę,
A sierocie łzę ocierał,
Kochał lud — i kraj Twój biedny
Twoją krwią i myślą wspierał,
Jeźliś czysty przetrwał mękę,
Gdyś nie upadł śród ciemności
A upadłym budził ducha.
Nie był pyszny i powszedni
Czynem krzywdę, nie łzą mierzył,
W Boga, naród Twój uwierzył,
I ci wszyscy, co dziś biedni
Gdy już duchem będą jedni,
Silni w wierze i miłości
Jako jednej matki dzieci:
To krzyż łaską znów zaświeci,
To Bóg skargi Twej wysłucha,
Ujrzysz Naród Twój znów cały
Silny — wielki i wspaniały,
Ujrzysz lud Twój odrodzony,
W łzach i we krwi oczyszczony —
Miniesz krzyż! Za krzyża cieniem
Dłuższa wiosna — trwalsze kwiaty
Lepsza dola — lepsze światy
Zgodne z pierwszych dni marzeniem,
Zgodne z pierwszym snem młodości!“

Maksymilian Zdulski.

KALEJDOSKOP

obrazy czasów i ludzi

przez

BERLICZA SASA.

(Ciąg dalszy.)

VI.

Uczty i wieczory. — Kadryl niepomyślny. — P. Bouche. — Rozmowa tajemna. — Opowiadania.

Mówiłem już w poprzednich rozdziałach, że pora morskich kąpieli ściągała całe niemal obywatelstwo naszych prowincyi do Odessy. W r. 1822 zjazd był liczniejszy niż kiedykolwiek, nie tyle z powodu sanitarnej potrzeby, ile dla tego, że spekulacya zbożowa rozwinęła w tym roku nadzwyczajną czynność eksportacyjną ze wszystkich punktów Wołynia, Podola i Ukrainy, najobficiej uposażonych rolniczym plonem. Nieprzerwanymi rzędy maż czumackich ciągnęła pańska i szlachecka krescencya do odesskiego portu. Właściciele tych kosztownych darów Cerery, chcąc połączyć korzyść z przyjemnością, ruszyli także gromadnie w ślad za swoim towarem, czyli, mówiąc właściwiej, wyprzedzili go i to w takim licznym kompucie, że odesskie domy zajezdne i prywatne kwatery ledwie ich pomieścić mogły. Ożyło miasto gwarem, ruchem i brzękiem złota. Strumieniem Paktolu potoczyły się metaliczne zasoby naszego obywatelstwa po handlowych składach, magazynach, hotelach i cukierniach. Ludzie familijni wyprawiali uczty, spacery, tak nazwane tańcujące herbaty, na których bywało wszystko, oprócz herbaty. Tańczono zwykle pod fortepian, na którym drzemiąc sobie szczęśliwie po spirytualnym traktamencie najęty partacz *(tapeur)* wystukiwał narkotyczne jakieś anglezy, mazury i walce. Skąpo więc były uposażone te baliki ze strony muzyki. Za to przyjęcie nie zostawiało nic do żądania, bo oprócz ptasiego mleka, jak to mówią, wszystkiego dostać można było w Odessie. Ryby morskie (kambuły, kefale itd.) kraby, raki, konchy rozmaite (midye) tak zwane *frutti di mare,* dostarczały wybornych materyałów gastronomicznych, których dopełnieniem były najprzedniejsze owoce południa, oraz łakocie zamorskie Grecyi, Małej Azyi, Egiptu, jako to: słodka chałwa, rodzaj jabłecznej pasty, fruktowe rachatłuchum z migdałowym farszem, gęste, jak patoka, cukrowe szerbety, ostro szczypiące podniebienie zaprawą imbiru powszechnie używaną na Wschodzie. Winogrona szły z południowej Taurydy i z Konstantynopola, chociaż i koło Odessy były obszerne winnej latorośli plantacye. Kawony i melony pielęgnowały zamiejskie basztany i kraj czerkieski przysyłał. Co do win, żadna stolica lepszych nie posiadała, albowiem były autentycznym płodem właściwych sobie klimatów, żadną fabrykacyą niedotkniętym. Południowa Francya, Hiszpania, Italia i wyspy greckiego archipelagu dostarczyły Odessie najprzedniejsze próby swego winnego przemysłu, suto opłacane przez smakoszów naszych prowincyi, którzy się swego staropolskiego węgra i poczciwej domowej machy zaparli, by innoziemnymi nektary Bachusowi wyprawiać libacye. Było więc czem nakarmić gościa i napoić, a że z łaski poczciwej pszeniczki miało się grosza podostatkiem, nic nie stawało na zawadzie uprzejmej skłonności dostojnych promotorów uczt i wieczorów.

Na jednym z tych wieczorów u Kiryakowych zagajono kadryl dziecinny pod przewodnictwem p. Bouche, dręczyciela nóg odesskich i wielkiego mistrza pięciu pozycyi klassycznych tańca. Córeczka gospodarstwa Nadińka, *) siedmioletnia dziewczynka była moją damą. Nazwiska reszty smarkaczów i kłapiturek (jak nazywała dziewczynki staruszka, pani Chłopicka, **) matka dyktatora) wyszły mi z pamięci. Chociaż byłem ruchawy, jak żywe srebro, a zręczny, jak goryl, (którego na prze-

*) Obecnie 57-letnia księżna Kantakuzen, zamieszkała w Petersburgu.

**) Mieszkała w Żorniszczach, miasteczku Strutyńskich, na Ukrainie leżącem. Kiedym ją odwiedzał po r. 1831 była już prawie stuletnią staruszką ale zdrową i krzepką. Jadała na śniadanie krążek kiełbas z czosnkiem, albo salaterkę bigosu. Ot, prawdziwa matrona dawnego etatu! — Synowie — zwykła mówić — to błogosławieństwo boskie, a córki, to, mój panie, kłapiturki i nic więcej.“

kor Darwinowi nie uznaję za swego protoplastę) nie lubiłem wcale chorograficznych popisów i miałem europejską Terpsichorę za najnieznośniejszą babę w świecie (bo grecka tylko była boginią). Ciąć szpryngle, koperczaki, susy szalone, w to mi graj bywało! Dzielnie i ochoczo przejawiała się żywotność moja w tych ruchach swobodnych żadnym kodeksem nieokreślonych, a więc mniej niewolniczych jak owe nudne menuety, gawoty, matredury, którym niejednokrotnie z całej duszy złorzeczyłem. Złość mię tedy porwała wielka gdy mi kazano figurować w kadrylu i to właśnie w chwili najgorszego mego usposobienia dla tego rodzaju popisu. Wymówić się jednak nie było sposobu. Monsieur Bouche wziął skrzypce i dalej rzępolić figurę po figurze, odznaczając rozmiary taktów zabawnem podrygiem całego ciała. Komiczną tę gimnastykę przerywał on czasami powietrznymi szpryngle od pary do pary z pochwałą, zachęceniem lub ostrą naganą, a że tańczyłem niechętnie i niebacznie, przyciął mi tak brutalsko, że zakipiałem cały oburzeniem. Robiliśmy właśnie wtedy *dos-à-dos*, jedną z najgłupszych figur ówczesnego kadryla, bo kawaler i dama zamiast patrzyć sobie w oczy powinni byli karambolować z sobą ledziutko odwrotną stroną postaci, jakby rankorem ku sobie zniechęceni. Był to moment wymagający całej baczności kawalera, żeby się z należną grzecznością wywiązać z trudnego zadania. Leaz że mię szalony gniew opanował i gniew ten od osoby zuchwałego Francuza roztoczyłem na wszystkich, nie będąc więc panem ruchów moich, jak nie byłem panem mojego porywu, takim karambolem ugodziłem moją partnerkę tańca, że aż się biedaczka oparła twarzą o posadzkę nie bez wielkiego szwanku nosa, z którego gdyby z deszczowej rynwy krew obfitym zdrojem pociekła. Gwar i tumult powstał ztąd wielki. Matrony pospieszyły na pomoc Nadinki, podniosły ją i uprowadziły głośno płaczącą z salonu. Ja dostałem porządną burę, która. ma się rozumieć, nie przyczyniła się wcale do uspokojenia gniewnego usposobienia mej duszy.

Przerwany katastrofą kadryl nie dał się już zawiązać na nowo. Monsieur Bouche wściekał się ze złości. Kompania pozbawiona widowiska, co baczność jej skupiało, podzieliła się na grona rozpierzchłe, izolowane od siebie. Co do mnie wybiegłem na galeryę obszerną, różnobarwnie oszkloną, której całą długość zajmowały pomarańcze, cytryny i rododendrony w kadziach, tudzież wielka mnogość wazonowych, egzotycznych kwiatów, malowniczo ustawionych dokoła marmurowych bóstw greckiego politeizmu. Były tam maleńkie sofki w cienistych altankach z bluszczu, a w każdej z tych zielonych altanek, gustownie przyozdobionych kwieciem, lampa alabastrowa na bronzowych łańcuszkach zawieszona, rozlewała matowe światło, pełne poetycznej tajemniczości. Usiadłszy na jednej z sofek, pod lekkiem sklepieniem bluszczowych splotów, pogrążyłem się w tęsknej dumie o przygodach wieczora tego, ubolewając serdecznie nad niemożnością odpłacenia panu Bouche za obelgę, jaką mi wyrządził. O! dałbym jemu, gdybym mógł!

Kiedym tak snuł nić czarną mściwych pomysłów i pragnień, weszło dwóch ichmościów poważnego wieku, wojskowy i cywilny, których nie zdarzyło mi się widzieć dotąd. Obejrzeli spojrzeniem przestrzeń galeryi, a nie widząc nikogo (bom siedział cicho w mojej kryjówce) pomieścili się w trzeciej z rzędu altance odemnie i zaczęli z sobą dyalog półgłośny mało mię obchodzący zrazu, lecz który mię później wielce zainteresował. Dyalog ów tem bardziej wraził się w pamięci mojej, nietylko treścią, ale nawet samem jej oddaniem, że był prologiem wielkiego politycznego dramatu, co się wkrótce potem na scenie prowincyi naszych przedemną odgrywał. Wtedy to dopiero pojąłem ja całe znaczenie tajemniczego *a parte* tych dwóch ichmościów, spólników, jak się pokazało, groźnego stowarzyszenia, pod którego ciosem zadrżał aż do najgłębszych podwalin swoich tron carów Rossyi w dniu 14/26 Grudnia 1825 roku.

Czem się zaczął ów dyalog, niewiem, bo nie będąc ciekawym z natury i brzydząc się podsłuchiwaniem, nie zwracałem na to uwagi. Baczność moją wywołały dopiero słowa następne, głośniej i z uniesieniem wyrzeczone:

Pierwszy głos:

— Wyciąć wszystkich co do nogi!

Aha! pomyślałem sobie—czy to czasem nie rozbójnicy przebrani? Wszak Cartouche, Rinaldo, Fra-Diavolo często się wnęcali do uczciwych domów, pod firmą uczciwych ludzi. Kogoż to chcą oni wyciąć co do nogi? Czy nie nas czasem?

Myśli te przemknęły we mnie lotem elektrycznej iskry i uprzedziły następną odpowiedź drugiego jegomości:

Drugi głos:

— Nie! precz z taką myślą! Krwi nam nie trzeba. Kto mordem zaczyna, sam swój łeb katowi podstawia. Mówiłem już Wołchońskiemu *) i Orłowi, *[1]) że na to nigdy nie przystanę.

Pierwszy głos:

— A oni co na to?

Drugi głos:

— Orłów przyznał mi słuszność, a Wołchoński zagorzalec pozostał przy swojem.

Pierwszy głos:

— Miał racyę!

Drugi głos:

— Nietylko nie miał jej i mieć nigdy nie będzie, ale się postawił w niekorzystnem świetle w obec większości członków, realnie kochających ojczyznę i pojmujących jej żywotne potrzeby. Licharew, *[2]) Juszniewski, *[3]) Murawiew *[4]) powiedzieli mi otwarcie na ostatniem posiedzeniu w......, *[5]) że jeżeli myśl wytępienia dynastyi nie będzie zaniechaną, wyjdą na zawsze z towarzystwa.

Pierwszy głos:

— Zapomnieli, widzę, że wystąpić z towarzystwa znaczy wstąpić do mogiły. Dziwię się, że im nie przyszedł na myśl ten artykuł związkowego kodeksu.

Drugi głos:

— Ich to rzecz a nie moja. To wam tylko powtórzę, że $^3/_4$ spiskowych sprzeciwiają się użyciu środków morderczych. Nie idzie im o to, żeby dynastya nie żyła, jeno żeby nie była. Pryncyp, *[6]) idea,

---

*) Książe Sergiej, jeneral-major w korpusie Rajewskiego i zięć tego jenerala. Skazany w r. 1826 na 15 lat katorgi w kopalniach. Cnotliwa żona towarzyszyla mu i pozostala przy nim do dnia uwolnienia zupelnego. Widzialem go w r. 1824 w Humaniu u Aleksandra Potockiego.

*[1]) Michal — szef sztabu Rajewskiego i jego zięć. Umarł w Moskwie przed 6ciu laty, powszechnie żałowany.

*[2]) Pulkownik jeneralnego sztabu drugiej armii hr. Wittgensteina.

*[3]) Jenerał-prowiantmeister drugiej armii.

*[4]) Murawiew-apostol, dowódzca pulku liniowego piechoty. Powstał w r. 1825 i wystąpił w pole, lecz rozbity pod Wasylkowem (w pobliżu Kijowa) przez jenerała Rotta, wpadł w ręce rządu i był powieszony.

*[5]) Zapomniałem nazwisko miejsca.

*[6]) Dotąd brzmią w uszach moich te słowa: „*Le principe, l' idee, et la forme, constituent la question principale de notre activité à nous.*“ Było to po francusku, ale nie zupełnie. Niezgrabna fraza!

forma, oto są główne zadania działalności naszej. Żeby zastąpić pryncyp absolutny liberalnym, monarchiczny republikańskim, nie mamy potrzeby udawać się do noża, albo do topora. Potęga idei wystarczy. Wyprze denastyę z kraju — i rzecz będzie skończona.

Pierwszy głos:

— Lud nie podziela tej idei.

Drugi głos:

— Przyjmie ją, gdy się uskuteczni.

Pierwszy głos:

— A szlachta nasza?

Drugi głos:

— Niedba kto i jak rządzi? byle jej nie przeszkadzał dusić chłopa i ze skóry obdzierać. Wreszcie wszystkie niemal znakomitsze rody Rossyi mają swoich przedstawicieli pomiędzy nami, jak naprzykład Trubeccy, Golicynowie, Wołchońscy, Naryszkiny, Czernyszewy, Orłowy, nie mówiąc o innych. Nie mamy się tedy czego lękać ze strony szlachty. Z duchowieństwem trudniejsza sprawa.

Pierwszy głos:

— A wojsko?

Drugi głos:

— Cała prawie 2ga armia pozyskana dla sprawy. Oprócz naczelnego wodza *) i jego szefa sztabu *) wszyscy prawie młodsi jenerałowie i pułkownicy wiedzą o związku albo doń należą. Nad gwardyą pracujemy gorliwie...

Nadejście księżny Sutzo, panny de Maubeuge, pani Turkułłowej i pani Korsi w asystencyi pp. De Ribasa, Toma, Desmeth i Silvo przerwało rozmowę spiskowych. Przybyła kompania zajęła rogową altanę i cała galerya napełniła się wesołym jej rozhoworem. Co do mnie, do tyla spoważniałem pod wpływem dyalogu spiskowych, że złorzeczyłem z duszy nowym przybyszom za niewczesne ich w to miejsce nadejście. ... iosłości Nie pojmowałem ja, ma się rozumieć, całej don... ...ałem tego, co się o moje uszy obiło — a jeżeli i pojmow... ...zy, to mglisto, słabo, bez należytego wyobrażenia o rzec..., które tyle tylko oceniłem, że była groźną dla kogoś, bo się wielu przeciw niemu sprzymierzyło. Utwierdziwszy tedy w pamięci każde niemal słowo podsłuchanego dyalogu, zająłem się gorliwie roztrząsaniem onych. Rezultatem tego umysłowego procesu, było stanowcze postanowienie uszanowania cudzej tajemnicy w najsurowszem znaczeniu wyrazu, a że z natury nie byłem wielomównym, nie wielkiego to mię trudu kosztowało. Pierwszy raz dopiero sprzeniewierzam się ninie tej mojej determinacyi i to po 50ciu latach, kiedy się namiętności ulotniły, a ludzi i dzieła ich czasów powódź głęboka zalała. W dalszych rozdziałach tego pamiętnika pojawią się zdarzenia w powyższem zwierzeniu się spiskowych zapowiedziane. Po cichym prologu galeryi rozgłośna akcya olbrzymiego dramatu, mającego całe państwo za *proscenium*, a którego straszliwym epilogiem będą łzy, krew, rozpacz i konanie! Nie będę wyprzedzał biegu lat! Nim przyjdzie właściwa kolej rzeczonego przedmiotu, dokończę pobieżnie lekką akwarellę tego pamiętnego dla mnie wieczoru.

Mówiłem już, że nadejście kilku osób urwało nić dyalogu spiskowych. Wkrótce opuścili galeryę. Nowe wtargnęły grona. Zaludniły się altanki. Zabrzmiała toniczna skala głosów od barytonu do soprano, a chichotania — szczebiotania dziewiczego odezwało się co nie miara. Były tam wszystkie rodzaje kobiecej natury, wszystkie okazy jej zewnętrznego wdzięku. Cudnie wydawały się one w perłowem świetle lamp alabastrowych, w oprawie zielonych festonów bluszczu i barwistych splotów balsamicznego kwiecia. Feeryczność jakaś z miejsca i chwili płynąca, wionęła na te świeże oblicza urokiem młodości jaśniejące, to różane jak Aurora, to blade jak Psyche, to wesołe jak Atalanta, to melancholiczne jak Niobe, to miłośnie rozkoszne jak Afrodyta, a wszystkie zharmonizowane z sobą spólnictwem wdzięku, gdyby tony jednego akordu odrębne dźwiękiem a jednak zgodne.

(C. d. n.)

*) Hr. Sayn-Wittgenstein-Berleburg, późniejszy książe i feldmarszałek. Ożeniony z Polką, Snarską.

*) Jenerał Paweł Kisselow, późniejszy hrabia, minister, a ostatecznie poseł przy Napoleonie III. Ożeniony z Zofią Potocką, córką targowiczanina Szczęsnego.

Głębia morza i głębia powietrza,

przez

Dr. TOMASZA STANECKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Rozum ludzki podjął się jeszcze trudniejszego zadania: mierzyć głębię nierównie większego, bo całą kulę ziemi ogarniającego oceanu powietrznego. Torricelli obalając w r. 1643 przesąd scholastyczny o „wstręcie przyrody do próżni,“ wykazał za pomocą prostego przyrządu, barometrem zwanego, że powietrze ciśnieniem swem utrzymuje w równowadze słupek rtęci *) w rurce barometru do 28 cali sięgający, z czego łatwo wyprowadzić ten wniosek, iż cała atmosfera wywiera na powierzchnię ziemi takie ciśnienie, jakieby wywierało morze całą ziemię oblewające i wszędzie do 32 stóp głębokie. Gdyby więc powietrze stało się nagle cieczą tak gęstą jak woda i zlało swe nurty z oceanem, wezbranie tegoż zatopiłoby tylko nisko położone pomorza.

Do jakiejże wysokości sięga atmosfera? Odpowiedź na to pytanie byłaby łatwą, gdyby powietrze w całej swej rozciągłości jednakową miało gęstość, gdyby zatem jedna stopa sześcienna powietrza każdej warstwy tyle ważyła, co przy powierzchni morza, gdzie jej ciężar okazuje się 770 razy mniejszym od ciężaru wody zajmującej także jedną stopę sześcienną. Pomnożywszy 770 przez 32 otrzymalibyśmy 24640 stóp na wysokość atmosfery.

Że to obliczenie jest mylne, nietrudno wyrozumieć. Powietrze jest płynem bardzo sprężystym, a że ulega sile ciężkości, każda przeto warstwa uciska wszystkie dolne, na których się wspiera, zgęszcza je i czyni tem samem gatunkowo cięższemi. Ztąd wynika, że większej odległości od powierzchni ziemi odpowiada mniejsza gęstość powietrza. Rozumowanie to sprawdził pierwszy Pascal doświadczeniem. Namówił on swego szwagra Perrier, aby się udał z barometrem na górę Puy de Dôme przy Clermont. I cóż się okazało? Oto na wysokości 1477 metrów słupek rtęci w barometrze mierzył 278''', podczas gdy w jardin des minimes w Clermont sięgał do

*) rtęć — żywe srebro.

315·5'''; różnica wynosiła zatem 3 cale i 1¹/₂ linii. Ponieważ ciężar równych objętości powietrza zawisł od siły ciężkości, od ciepłoty, a nadto i od ilości przymieszanej pary wodnej, te zaś trzy wpływy zmieniają się z odległością od powierzchni morza, wszystkie więc poszukiwania dotychczasowe fizyków nie doprowadziły jeszcze do określenia prawa, według którego dałoby się dokładnie oznaczyć ciśnienie powietrza w każdej wysokości.

Dwojakim sposobem usiłuje człowiek wznieść się w odległe sfery powietrza: wspina się na wysokie góry, lub też balonem wzbija się po nad obłoki. Z niewysłowionym mozołem pokonywując tysiączne trudności, narażając się na niebezpieczeństwa, których samo wspomnienie grozą przejmuje, wdziera się przyrodnik na najwyższe turnie o stromych ścianach, poszarpanych szczytach, brodzi po zdradliwych śniegach i lodowicach, zwiesza się po nad strasznemi przepaściami i tam z zachwytem przejmuje wrażenia wspaniałego widoku i tam robi naukowe obserwacye i doświadczenia. Ale już na wzniesieniu dwunastu do trzynastu tysięcy stóp poczuwa, że go siły opuszczają. Wzmagające się znużenie zniewala go co chwila wypoczywać; w Andach powyżej 16000 stóp nawet góral niezwykłą odznaczający się krzepkością zaledwie ujdzie dziesięć kroków w górę, a już siada by wytchnąć i nabrać sił i odwagi do dalszych trudów. Coraz cięższym staje się oddech, coraz prędszem tętno, coraz gwałtowniejszem bicie serca. Bouguer zwiedzając Kordyliery koło Quito doznał kilku krwiotoków, chociaż nie był wyżej nad 15000 stóp, a Humboldt na górze Pichincha w wysokości 13800 stóp dostał nagle zawrotu głowy i omdlawszy leżał bezprzytomny, dopóki go towarzysze nie odszukali. Na górze Antisana wśród warstwy powietrza daleko więcej rozrzedzonej, bo 17200 stóp od poziomu morza odległej, nie uległ tym dolegliwościom, za to jego młody towarzysz Don Carlos Montufar ucierpiał wiele, bo mu się z warg nabrzękłych krew puściła. I zwierzęta doznają podobnych przykrości. Na wyżynie Quito najmocniejsze konie i muły nie chcą iść wyżej nad 13000 stóp; parskając i sapiąc wierzgają i dęba stają; nie pomogą bodźce ostróg ani uderzenia biczem. Tylko lama, ten nadobny i wesoły wielbłąd gór peruańskich, dźwiga mierny ładunek spinając się zręcznie po stromych zboczach aż do granicy śniegowej, 14400 stóp paryskich. Wyżej jednak nie da się poprowadzić i opiera się uparcie tak łagodnym jak i dotkliwym pobudkom.

Boussingault ukończywszy pomiary i inne fizyczne badania w Andach w r. 1831, wypoczywał w mieście Riobambie, położonem na płaskowzgórzu, zkąd roztwiera się widok na malownicze a dzikie obrazy Andów. Nasyciwszy oko wspaniałą panoramą, nie mógł się dłużej opierać pokusie zwiedzenia tych okolic i postanowił zrobić wycieczkę na górę Chimboraço. Pułkownik angielski Hall, który mu już w kilku innych wyprawach towarzyszył i tą razą przyłączył się do niego.

W Grudniu 1831 r. nasi podróżni odprawiają nocleg na folwarku znajdującym się na rzeczonej górze, 3800 metrów nad powierzchnią morza. 15go zrana puszczają się w drogę w towarzystwie przewodnika krajowca. Potok przeciskająsy się pomiędzy prostopadłemi ścianami trachitowemi doprowadził ich aż na wzniesienie równające się wysokości góry Mont-Blanc. Tu osłonili sobie twarz kitajką, aby ją ochronić od nieprzyjemnych skutków, jakie sprawiają promienie słoneczne odbite od lodu działając na naskórnię. Wkrótce wypadało im wydostać się na grzbiet, po którym mogliby byli dojść do skały trachitowej niepokrytej lodem. Brną więc w śniegu, w którym częstokroć po pas zapadaja, torując sobie drogę ku upatrzonemu miejscu. Niestety, śnieg sypki rozsuwa się pod nogami, już blisko na cztery stopy głęboki — daremne wysilenia — z tej strony dalsze wdzieranie się na górę niemożliwe. Muszą powracać. Na osamotnionym wyskoku trachitowym, wystającym po nad zaspy śniegowe, zażywają spoczynku o wpół do drugiej po południu; ciepłota wynosi 3 stopnie powyżej zera; barometr okazuje wzniesienie 5115 metrów. Boussingault napełnił flaszkę śniegiem, w celu robienia poszukiwań fizycznych. O szóstej wieczorem przybyli na folwark. Pogoda sprzyjała w ciągu dnia, tem bardziej więc ubolewali nad tem, że nie mogli z niej korzystać. Nie zrażeni niepowodzeniem postanawiają następnego dnia z innej strony jakkolwiek więcej spadzistej wdzierać się na górę.

O siódmej zrana mała karawana ruszyła z miejsca; o dziewiątej pokrzepiła się śniadaniem w wysokości 4335 metrów na olbrzymiej bryle trachitowej, którą Boussingault nazwał „kamieniem uczty" *pedron del Almuerzo*. Gdy postąpili 600 metrów wyżej, muły odmówiły posłuszeństwa, a więc pieszo dążą do góry po spadzistej skarpie. Około południa przechodzą po tak ślizkim lodzie, że siekierą muszą wyrębywać wcięcia, aby się noga utrzymała. Powietrze już znacznie rozrzedzone, co sześć lub ośm kroków stają, aby wytchnąć. Boussingault kroczy naprzód, śladem jego postępują Hall i przewodnik, zachowując milczenie, już to dla tego, że mówienie samo na takich wyżynach utrudza, już z przezorności, by mocniejszem wstrząśnieniem powietrza nie wzbudzić okropnej lawiny.

(C. d. n.)

MĘCZENNICY FANTAZYI,

NOWELLA

z niemieckiego

LUDWIKA FOGLARA.

(Ciąg dalszy.)

Jak członkowie wielkiej duchowej rodziny, podobni sobie ludzie prędko się łączą z sobą, kiedy inni całe życie razem przeżywszy na jego końcu o krok niepostąpili w zbliżeniu się ku sobie i wzajemnem uzupełnieniu— ale z człowiekiem, który czuje, że mnie zgaduje i dopełnia, dalej prowadzi i oświeca, z tem mi od początku tak jasno i dobrze, z tym się znam tak dawno, jak gdybym z nim na szkolnej ławie siadywał. Każda wiara w przyszłość zagrobową, czy przeszłość zaświatową musi się łączyć z temi ogniwami pokrewieństw duchowych. Poczęły się tedy dnie, tygodnie, miesiące, o których śniło się tylko czasom olimpijskim, w mytach uznanych za czarodziejskie; taką mytologię przeszłości własnej ma serce każdego człowieka, tylko nie każde jej świadome. Pewien harmonijny nastrój oczarował wzajemnie ich umysły—błękitny, jak to bezchmurne, helikońskie niebo w dzień słoneczny,

kiedy ptak na szczytach lodowych siadający roztacza wielkie skrzydła i płynie w błękit, odetchnąć przeczystym eterem!...

Żwawe, rozpuszczone chłopcy, jak ugłaskane źrebce złagodniały widocznie pod ręką nowego mistrza, który umiał ich rozciekawiając nauczać, a rozweselając spoważniać. Zuzanna zawsze troskliwa o dzieci, ale od tysiąca mozolnych trosk wolna, na nowo rzuciła się swoim muzom w objęcia, cokolwiek oświeca czy ozdabia życie, to umiała sobie przyswoić. Śpiew i muzyka, skarby literatury, obcowanie z ludźmi nauki zapełniały jej wolne godziny, niezbyt liczne, bo zajęcie domowe wiele ich pochłaniały, a Gontard w rzeczach domu, zwłaszcza wygódek życia był nieubłaganym Likurgiem!... O resztę się nie troszczył i szeroką wolność zostawiał Zuzannie, której znał zacność i podstawy etyki na Grekach wyrozumowanej, tylko siostrę swoją Almę poruczył jej szczególnej opiece i cierpiał nawet, że się kształciła pod bokiem nowej Koryuny, jak żonę nazywał, że Alma od niej biorąc światło, wiedzę, wdzięk i ogładę, nawet niekiedy z nią współzawodniczyła, uzupełniając się cudownie w tej szlachetnej współwalce. Stosunek zaś obojga małżonków był raczej przyjacielski, niż z miłości pochodzący. Obyczajem patrycyuszów zamożnych, dziećmi jeszcze poswatani, przywykli mimowolnie do siebie, o silniejszem uczuciu mowy tam nie było. Gontard wcześnie dojrzał i zmężniał w podróżach, zwłaszcza w nowym świecie, zmysł jego praktyczny utwierdził się powodzeniem w przedsiębiorstwach dokonanych, ztąd ta jego pewność i samowiedza w działaniu, odznaczająca ludzi wielkich miast przemysłowych. Zuzanna zaś tragiczną historyą młodości dojrzała na słońcu cierpienia, ztąd ten pogląd poważny na świat, który wsparty wykształceniem i rozwinięciem się uczuć szlachetnych, stanowił tak dobitną protestacyę przeciw wszelkiemu fałszowi i obłudzie stosunków codziennych. Ojciec jej zrujnowany w skutek niedoszłych spekulacyi był sobie życie odebrał, matka zaś, ofiara konwencyonalnych wymogów, złamana nie przeżyła tego ciosu, zostawiając w nędzy prawie czworo drobnych sierót.

W otchłani tego dramatu pogrzebała Zuzanna pierwszą młodość swoją — ale bynajmniej nie swoje iluzye. Opiece zacnych krewnych i stosunkom pomyślnym zawdzięczały sieroty sposobność kształcenia się.

Umysł Zuzanny wykarmiony na wzorach klassycznych, wzmocniony rozważaniem igrzysk losu, jakich była świadkiem, pełny udziału we wulkanicznych zapasach stulecia, a zawsze płonący ku wszystkiemu co piękne, wielkie i zacne, stał się istnym geniuszem miasta, w którem przebywała, gwiazdą kół towarzyskich, szlachetnych, kiedy druga część towarzystwa przeciw niej wciąż fermentowała, demonem ją mieniła, który czasem niespodzianie ale śmiało i stanowczo bronił prawdy i niewinności przeciw egoizmowi i potwarzy. Tak stała wśród towarzyskiej walki nieprzystępna a zawiść budząca, ścigana a ubóstwiana, jedni jej schlebiali inni bluźnili, bóstwo dla mężczyzn, Gorgona dla kobiet, ale nikomu nieobojętna, wszystkich interesująca i tworząca stronnictwa na korzyść lub niekorzyść swoją. Ideał „pięknego życia," do którego dążyła jej niezmużona dusza, starając się sprostać klasycznym wzorom, usiłowała rozprzestrzenić wpływem swoim na małe otaczające ją koło, niezrażona szyderstwem i złośliwością, które za to mściły się na niej; osiągała mimo nich cel swój przeprowadzenia małej socyalnej reformy w otaczającem ją kołku. Wszelka mierność, banalność, naukowa blaga i przesada wygnane były z jej salonu. Z muzyki tylko najlepsze utwory słyszeć tam można było, śpiew i gra nie jako zabawa tam figurowały, ale jako odtworzenie wielkich kompozycyi, równie spotkać się tam było można z wesołymi epigramatami, nie dla krotochwili, ale dla wykazania w formie humorystycznej spaczonych stron społeczeństwa. Dla czczych machinalnych wirtuozów niebywało tam miejsca, bo przedewszystkiem o treść rzeczy pytano. Malarze i rzeźbiarze ubiegali się o ozdobienie jej estetycznego salonu, co było pierwszą rekomendacyą. Najwspanialej jednak odznaczoną tam była literatura poetyczna. Don Carlos Schyllera i Tasso Goetego tu były czytane nim je scena poznała. Wilhelm Humboldt, Hegel i Szelling przebywali tam często, a Winkelmann niejeden swój rozdział o sztuce tam dawał do wygłoszenia.

Że takie wpływy zwyciężyły stanowczo wszelką zawiść ludzi wielkich z małego miasteczka, a tem jadowitszymi ich czyniły, w tem nic dziwnego; niejedną bowiem fałszywą ambicyę tam pominięto, niejedną pretensyę niezadowolniono, a podnoszono za to nieraz umyślnie zapoznane osobistości lub ludzi o skromnych stanowiskach, których mimo zacności i zasługi nie dopuszczano do złoconych salonów patrycyuszowskich. Niejedna też próżność zgrzytnęła zębami. Oczywiście osoba taką wolą i stanowczością się odznaczająca, słynąca taką pobłażliwością i wolnością myśli, jak pani Gontard, niejednemu młokosowi Frankfurckiemu mogła mimowolnie oszołomić głowę i przesadzone wzbudzić nadzieje, o które tak łatwo nam mężczyznom pełnym najlepszego mniemania o naszej świetności osobistej, gotowym do uwierzenia, żeśmy jedną frazą lub tańcem walca już zbałamucili serce kobiety. Postępowanie męża spekulanta, niezdolnego ocenić przymiotów umysłowych żony i obojętnego prawie dla niej nie mało do tego się przyczyniało.

Między wielbicielami Zuzanny, ubiegającymi się naprzód o jej względy, słynął Dr. Orbes, przyjaciel i codzienny towarzysz Gontarda, geolog wsławiony nauką, który mimo niepowabnej powierzchowności, retorycznym darem i bystrości wielkiej zasobami, przemocą prawie jednał sobie umysły całego towarzystwa. Był on aniołem czy szatanem Gontarda, którym władał, ba! trząsł zupełnie podług upodobania — jedynym człowiekiem uznanym za dość praktycznego, aby go mógł opanować. Wpływu swego jednak na złe dotąd nigdy nie użył. Zuzanna ceniła go jako powagę naukową, nieraz zasięgała jego zdania, bardzo trzeźwego, wolnego od wszelkich iluzyi, nawet w rzeczach poczucia piękności i fantazyi nieraz go się radziła, co skróciło długą drogę szukania, badania lub zawodu. On imponował jej rezultatami swego działania, ona zaś nie dała mu odetchnąć pod natłokiem rozlicznych kwestyi życia umysłowego. Szermy duchowe, walka idei była między niemi nieustająca, im silniejsza, tem dowcipniej i ciekawiej prowadzona, im sporniejsza, tem obfitsza w cały arsenał wiedzy i dowcipu; tak Gontard nieraz porwany tą żywą rozmową, nie przeczuwał jak żywotny udział w niej bierze jego zapalony przyjaciel.

Orbes z cichą zawiścią widział, jak nowy nauczyciel zwolna wstępował w te koła towarzyskie, jak je podbijał tylko instynktu sympatycznego ponętą, jak apolinowy namaszczeniec, coraz bardziej się wsławiający poeta, klient Schyllera, przyjaciel Szellinga i Hegla coraz silniej zwracał na siebie uwagę, jak Zuzanna całą przyjaźń i podziwienie swoje poczęła mu okazywać jawnie, w obec wszystkich, i jak sam Gontard, uradowany pomyślnym rozwojem synów, zaczął się o nim z niezwyczajnem ciepłem odzywać.

(C. d. n.)

KRONIKA ARTYSTYCZNA WIEDEŃSKA,

przez

N I N O.

Któryś z młodszych poetów wyrzekł, że czy niebo się chmurzy nad nami czy jaśnieje, piękność do końca z nami pozostanie. Pod wpływem tej myśli, jakkolwiek wymówiliśmy się brakiem czasu, chwytamy raz jeszcze pióro dla skreślenia kilku miłych i parę ujemnych pojawów w życiu umysłowem a zwłaszcza artystycznem Lutego i Marca. Tem chętniej, że co w codziennem życiu na pozór jaśnieje, często wewnętrznie się chmurzy — i odwrotnie.

Wystawa tegoroczna obrazów w Künstlerhausie, ściągnęła tłumy ciekawych i wielbicieli w swoim rodzaju... Przedmiotem tej pielgrzymki nie był Ploermel, ale za to Venus Anadyomene, olejny obraz Schlössera z Rzymu. Wyobraża on Venus rodzącą się z fal morza i wzlatującą w sfery niebieskie. Tą razą Bogini piękności była uzurpatorką, a w przyczynach jej tryumfu poszukać można tych samych pierwiastków, co w tryumfie Heleny Offenbacha. Zarzut zaś główny — że nie jest Boginią, tą córą morza i błękitu, ale kobietą, strasznie zwykłą, apateozą raczej Fryny niż Afrodyty, i zażywną baletnicą a nie zidealizowaniem jednego z najpotężniejszych uczuć ludzkości. Zarzut drugi, że jest naśladowaniem, parodyą raczej Tryumfu Galatei Rafaela; draperya, amorki, a zwłaszcza trytony obejmujące nimfy, są echem tego arcydzieła.

Przelećmy błyskawicą, genezę Afrydoty, dla stwierdzenia tego. — Ktokolwiek miał szczęście spędzenia choć kilku godzin w Rzymskiej willi Farnesina, której całe ściany pokryte arcydziełami Rafaela, Sodomy, Sebastyana del Piombo, od bajki o Psysze, aż do Głowy Olbrzyma, które raz długiem czekaniem na swego ucznia Sebastyana w lunecie wyrysował Michał Anioł, ten już nigdy niezapomni i boskiego w olimpijskiem znaczeniu Tryumfu Galatei Rafaela — ten zmierzy jeden ze szczytów jego natchnienia, w którym jako malarz chrześcyański chciał współzawodniczyć z fantazyą starożytną. Czegoś tak ujętego harmonijnie i poetycznie, jak Tryumf Galetei nie prędko wieki wydadzą; jest ona jakby uzmysłowieniem plastycznej harmonii Helleńskiej, gracyi i harmonii, wielkiego allegro, symfonicznie zaklętego w tym kształcie. Venus, *) ta jak ją Safo zwała „przebiegła Zeusa córa“. wzniosła się tu na odmętach rozigranych fal, z konchy złotej powstaje dziewicza, śmiejąca, owiana mgłami poranku i purpurą wiejącej szaty, co na ciała jej puchy rzuca blaski różowe.... Z oczyma płaczącemi, sokolim wyrazem, ognia i zdziwienia pełnym, nozdrzami nieco wzdętemi i kącikami ust drżącymi namiętnie, cała jest uśmiechem zdziwienia na to — co ujrzała... Stojąca w litej muszli, pani Olimpu godna walki z Minerwą, patrzy w nieskończoność błękitu i lejcami wolnemi kieruje dwóch muszlę ciągnących swawolników delfinów, którym mały amor za forysia służy. Rydwan wśrodku stojącej otoczony grupami trytonów, z których jeden brązowem ramieniem, jak wąż, obrzucił kibić uśmiechniętej ku niemu nimfy, drugi unosi już swą piękność chmurowłosą po pianach fal zazdrośnych w postaci centaura, i wgwałtownym galopie uderza złotemi kopyty w zwierciadło rozbryźniętych brylantów i pereł — dwaj inni na muszlach tęczowych grają chwałę bogini, a w górze trzech figlarnych Erosików ćwiczy się w strzelaniu z łuków, czwarty z snopkiem strzał gotowych, chmurami otulony przygląda się temu z wyższą nad wiek dziecinny zadumą. W tem wszystkiem taki ruch, taki szał, gra namiętności i motywów — a przy tem tryumf zdrowego uczucia młodzieńczego, tchnącego rytmem serdecznym a wcale nie zmysłowym po dzisiejszemu... Największą oryginalnością że Venus Rafala jest skromną. Snać że uczeń Perugina, autor Pescatory czy Skrzypka młodzieńczego, czuł instynktem filozoficznym świat pogański, a wiedział także że niewinność wstydzić się niemoże. Venus zaś Schlössera odznacza się cynizmem i pojmuje tylko strony materyalne życia. I w bajce Psychy Venus Rafaela powożąca gełębiami podobnym odznacza się wyrazem. Równie idealnie, choć po swojemu pojął Venus swoją w muszli stojącą Sandro Botticelli; o ileż inaczej z ziemskim wdziękiem Corregio w grupie z Erosem i Merkurym (Londyn) i Caracci, rozbrajającą Heraklesa (Florencya)! Venus Palmy (Vechio) w Dreźnie, prawdziwa to bogini a arcymistrzem jej typu był Tycyan... Liczne są jego Afrodyty, a najwspanialsze dwie pomiętam w muzeum Madryckiem, powiedzmy nawiasem, najbogatszem w świecie. Rzeźba nam dała wiele z jej kształtów. Trzy najnieśmiertelniejsze, z których każdy wymagałby sądu Parysowego i trzech jabłek miasto jednego — to Venus Kapitolińska w Rzymie, Medycejska w Florencyi i Milos w Paryżu. Dodalibyśmy neapolitańską Kallipige i Capuana; wreszcie słynna Venus Canowy, do której pozować nie wahała się Księżna Borghese, siostra Napoleona I. W malarstwie nowoczesnem zużyto tematów bez końca na oddanie mytu Venery i zawsze utknięto na zmysłowości, jak Schlösser. Zwycięzko wyszedł jeden Cabanel, i jego Venus roztwierająca na świat dziecinne, wilgotne oczy o cudnych rzęsach i wyrazie figlarnym, pozostanie piękną przy każdej innej. Materyalizm tegoczesny Schlössera jest tej samej, choć niższej genezy co materyalizm fatalny Makarta, sławionego wirtuoza kolorów, a istnego Büchnera malarstwa. Makart jest mistrzem formy, gdybyż ona miała ducha!.. Oby nie został świadectwem tego, czem ona jest bez ducha. Mówiliśmy gdzie indziej o stanowisku Makarta (w „Tygodniu“ Drezdeńskim), tu natrąca nam się tylko słynna a nieco gburowata polemika wywołana artykułem Lübkiego p. t. „Makart a Wagner,“ paralella subtelna między muzyką a malarstwem, dowodząca, że jeżli Lübke muzykę Wagnera paralelizuje z malarstwem Makarta, niema wyobrażenia o muzyce. Niemówiąc o Wagnerze jako człowieku, niepodobna muzyce jego zarzucić materyalizmu — owszem tak przedmiot, treść jak i sama muzyka jego oper są najidealniejszymi utworami na jakie zdobyła się sztuka. Scena miłości i pieśń łabędzia w Lohengrinie, chór pielgrzymów i Abendstern w Tannhäuserze, równie Rienzi, Hollender, Tristan i Hans Sachs, pozostaną na zawsze idealnymi utworami, na wskróś szlachetnymi; że muzyka w grocie Venery i scena w stanowczej furyi pokusy odznacza się plastyką zmysłową, jest zupełnie loicznem i inaczej chybiłoby celu. Zmysłowość ta rozpętanego piekła poprzedza tylko chór pielgrzymów i trumnę Elizy a zwycięztwo umierającego barda. Po odesłaniu Kartonu Kaulbacha z Wiednia, „Inkwizycya“, reszta obrazów nie odznacza się pierwszorzędnością, na wystawach miast naszych spotykamy lepsze płótna jak tu w tym roku niefortunnym, malarze nasi jeżli dalej tak naprzód iść będą, nietylko współzawodniczyć ale wyprzedzić Niemców powinni.

W repertuarzu Burgu poważne dramaty znowu zjawać się poczynają. Wymieniamy ich trzy: „Ma-

*) Galatea.

deleine Morel" Mosenthala, „Nowy Achilles" Weilena, i „Fedra" Racina w przekładzie Schillera. Pierwsza jest motywem dawno zużytym od czasów „Dame aux camelias" — niemniej, użytym bardzo misternie i swiadomie. Jestto psychiczny rozwój kobiety szlachetnej, padającej ofiarą spaczonego społeczeństwa. Cechą dodatnią dramatu pozostanie, że autor czyni go drogą poprawy i w jej to ogniu uświęcona bohaterka, odwetem zawistnego losu, staje na wysokim szczeblu społecznym, oddając rękę mężczyznie, który spotkawszy ją poczuł że w niej spią zarody szlachetne, których nikt nieobudził — mężczyzna ten nie waha się oddać jej ręki nawet z utratą markizatu, który odbiera rodzina. Autor więc ma tę zaletę, że jak widzimy nie fabrykuje moralnej benzyny plamistszej od plam samych, lecz z cieniów wskazuje punkt wyjścia ku światłu. Panna Wolter całą gamę uczuć i kolizyi oddała ze spokojem i mistrzowstwem świadomem tej bolesnej roli.

„Nowy Achilles" Weilena, jeden z tych nowoczesnych dramatów, które z licznego koła dramaturgów niemieckich wyrastają pełne rutyny, ba! nawet przerutynowane, pełne wszelkich warunków estetycznych i przyzwoitości (gdzieżby który mógł być nieprzyzwoitym jak Shakespeare!) a jednak niewiedzieć czemu niemogą swobodnie stanąć przy Schillerze, jak gdyby w ich misternej budowie kości pacierzowej o lwim szpiku brakło.

Nowy Achilles, to hrabia Montecuculi, na dworze Krystyny Szwedzkiej w Rzymie. Królowa—ascetyczna artystka i artystyczna ascetka. Dulcynea ciemnej pamięci Monaldeskiego, sentymentalizuje pod koniec z Montecuculim, który zagniewany na cesarza siedzi w Rzymie gdy Turcy pustoszą Węgry i grożą Wiedniowi. Jak wyrwać bohatera z łona nieczynności i pozyskać dla Niemiec, oto cała intryga. Walka między Krystyną, duchowieństwem chcącem go pozyskać dla Rzymu, — a sprawą rycerstwa, które go powołuje. Montecuculi występuje jako bohater szlachetny, syt życia i złamany boleścią — obraz Salwatora Rosy przdstawiający scenę przyjaźni z życia Achillesa, roznieca gasnące iskry jego zapału, reszty dokonuje kochanka pierwszej młodości hrabiego i wysłaniec młodego rycerstwa. W godzinie stanowczej wspaniała Krystyna zrzeka się wszystkiego, Montecuculi wraca do armii. Scena w której roztacza plan teoretyczny swej kampanii, jak gdyby tam był i już walczył, jest porywająca i przepyszna (Sonnenthal). Wiele, bardzo wiele ma ta sztuka przymiotów, główną jej zaletą szlachetność, będąca filarem i osią całej budowy. Grzechem pierworodnym dramatu — nieprawdopodobieństwo... Jakże hrabia całymi dniami mógł niepoznawać dawnej kochanki za pazia przebranej, jakim sposobem dumna Krystyna znana z gwałtowności tak łatwo broń składa, jak wreszcie człowieka ograniczonego, takie „torso głupstwa," jakim oddany jest ambasador austryacki w Rzymie, mogli obdarzyć tak ważną posadą? Tych błędów logicznych nie zatrze i świetny talent Weilena. Laroche rolę ambasadora, a Meixner exbandyty szpiega - pobożnisia, oddali z mistrzowstwem godnem koryfeuszów burgu. Ci dwaj starcy grą swoją pogruchotali wszystko w koło siebie, nawet Lewiński znany z pilności swych ról, grający wybornie Rzymskiego dyplomatę, zbladł przy nich jak księżyc przy słońcu. Pani Gabillon nie zbyt historycznie pojęła Krystynę, bardziej na Karola XIIgo niż na Gustastawa Adolfa córkę stworzoną, znaną z gwałtowności i instynktów artystycznych.... epoki Berniniego.... za mało miała powagi i majestatu, trochę nadto fertała się po scenie. Myliłby się, ktoby mniemał, że w Burgu wszystko dziś doskonałe — niemniej pani Gabillon jest mistrzem w komedyach Shakespeara, a nawet w tragicznej roli Mosenthala Bianki Capelli (Izabella Orsini). Dekoracye celowały zręcznością — komnata Krystyny w Rzymie, którę widziałem zachowaną wiernie w pałacu Corsini, do szczegółów dobrze była oddaną.

(Dok. n.)

PRZEGLĄD TEATRALNY.

(K l a u d y a, szkic dramatyczny w dwóch aktach Władysława hr. Koziebrodzkiego, przedstawiony na scenie lwowskiej po raz pierwszy d. 20 b. m.)

P. Koziebrodzki zajmuje w rzędzie naszych pisarzy dramatycznych stanowisko pod pewnym względem wyłączne. Nie zakreśla on sobie prawie nigdy szerszych zadań—niepragnie rozwiązywać w komedyi rozległych zagadnień społecznych, a w dramacie zadowala się lekkiem naszkicowaniem namiętności, któraby mogła być potężną, gdyby jej malarz nadał śmielsze kształty. A tak musi się ściągać na łożu Prokrusta—bo autor nie chce, aby się stała dramatem, pozwalając jej zapełnić zaledwo wązkie ramy szkicu. W komedyi taka metoda kompozycyi ma wiele za sobą—jeżeli się uda jakiś ulotny moment, jakąś drobnostkę życia zatrzymać w biegu i podpatrzeć w niej drżenie serca albo grunt myśli, to można doprawdy na tle takiem o wielkiej prostocie a bez żadnych pretensyi, osnuć rzecz miłą, subtelną, budzącą do zastanowienia. A o to właśnie tu chodzi. *Nulla dies sine linea*—każda chwila, każde położenie życia może być przedmiotem rozmyślań płodnych dla umysłu. Należy mieć tylko dar spostrzegawczy, delikatny, a w każdem zjawisku rwącego strumyka, zwanego życiem, odgrzebać można nietylko myśli szczyptę, ale i świetlaną smugę poezyi. Taki przebłysk jej lekki na jałowym gruncie prozy orzeźwia wtedy jak kropla rosy... Tu właśnie zasługa p. K., że umie codziennemu życiu, niemającemu pozorów głębszego piękna, odkradać jego drobne tajemnice idealne, jego wdzięk ukryty, jego ciche przejawy duszy... Piętnem całej nowoczesnej kompozycyi dramatycznej jest realizm dochodzący do cynizmu... Jest tu pewna jednostronność, bo ci pp. Dumas i Sardou jednoczą w pojęciu realizmu także pojęcie brzydoty moralnej... To co brzydkie, to jest u nich realne, to brane z życia; co ma woń cnoty, uważa się za echo ckliwego romantyzmu. A wszakże cnota i piękno mają swą prawdę w życiu, mają swój byt, tak dobrze jak podłość i cynizm. Otóż w tem widzimy właśnie zasługę p. K., że takiemi drobnostkami scenicznemi wskazuje z lekka, jako to życie r e a l n e, powszednie także ma swoje strony czyste, iście poetyczne, że można być malarzem-realistą, a przecież realną chwilę oddać w obrazku tkliwym i powabnym. Takie obrazki mogą być skuteczną reakcyą przeciw apostolstwu brzydoty, nazywającemu to, co wstrętne, realnem... Pojmując tak życie, można się też utrzymać łatwiej na szerszym, l u d z k i m horyzoncie — odmalowawszy duszę w jej kształtach wiernych, chociaż rysami drobnymi, można ze swą komedyjką przetrwać dłużej na scenie, aniżeli pisząc całe dramaty, osnute na tle, które jest faktycznym obrazem stosunków n a d z i ś, ale kłamstwem i anachronizmem n a j u t r o... Czy Ponsardowska „G i e ł d a" długo będzie rozumianą na scenie?... Jużcić tak długo, jak będzie modą grać w giełdę... Ale też jeżeli jutro nastąpi kryzys finansowa a ekonomiści potępią do reszty tę instytucyę i wynajdą nowy, skuteczniejszy sposób umieszczania kapitałów, jeżeli giełda stanie się sfinksem, co będzie z komedyą p. Ponsard? Taki los bywa dzieł sztuki nie osnutych na motywach wieczystych ludzkiej duszy!

Dramacik „Klaudya“ jest jednym z takich utworów, które unosząc się po nad realizm i interesa chwili bieżącej, podają nam znowu jeden rys więcej z tego obrazu, co się maluje pędzlem natury przez szereg wieków, a który zwie się ludzką namiętnością. Pozytywizm estetyczny idący w ślad za pozytywizmem naukowym możeby odmówił uprawnienia takim motywom, dowiódłszy raz, że uczucie i namiętność są objawami czysto fizycznymi a zatem w sztuce nie dramatycznymi — ale kto wierzy do czasu, że w tej „zalotnicy wieków“ — w sercu, gdy kocha, przebiegają też jakieś prądy duchowe i sympatye nietylko cielesne, ten pozwoli namiętności grać jeszcze rolę dramatyczną i chętnie posłucha gorącej barkaroli włoskiej, pomiędzy Klaudyą i Klemensem. Treść tego dramaciku nie jest bez wątpienia ani świeżą, ani oryginalną, ale przynajmniej w rozwiązaniu okazującą rzecz w nowem świetle. Cóż w tem nowego, że stary, zacny Rodrygo kocha do szału kwitnącą, chciwą rozkoszy żonę i że gdy wyjechał z domu za kupieckimi interesami, przybłąkał się pod okno tęsknej włoszki powabny trubadur z piosenką miłości, że się dwa serca spłynęły w jedno, że popełniono występek i zdradę?... To wszystko stare... ha! prawda, ale bo i natura ludzka starą, a czyż znajdziecie co nowszego nad nią?... Nie w tem leży jednak nowy pomysł dramatu... Nasuwa się pytanie, jak rozwiązać tę splątaną kolizyę, gdy Rodrygo wraca—i to w dniu zamierzonej ucieczki żony z kochankiem — gdy zdradę Klaudyi odkrywa?... Pojedynek! takby zakończył rzecz całą Victorien Sardou, zastrzelenie się Rodryga, takby załatwił trudność Al. Dumas syn... P. K. wynalazł jednak zakończenie inne, szlachetniejsze, mniej dyssonansów obudzające w duszy. Klaudyi samej, postawionej między nieugiętą pożądliwością kochanka, a rozpaczą męża — pęka serce... Niespodzianka to poetyczna i wstrząsająca...

Zresztą dramacik, o którym mówię, ma wiele usterek w kompozycyi, jakkolwiek żadnych w charakterystyce. Głównym błędem jest to wahanie się poety między formą dramatyczną a zachciankami lirycznemi, wyzierającemi z każdego mono- i dyalogu. Wytwarza się z tych zaczęstych przymieszek sentymentalność kolorytu, rozwadniająca siłę chwil dramatycznch i tamująca szybszy bieg działania. Tem bardziej że te ekstazy liryczne nie rzucają najczęściej nawet światła na charaktery osób, będąc najczęściej kontemplacyą natury, lub rzewnem rozpamiętywaniem przebytych rozkoszy... Prawdziwie dramatyczną cechę ma tylko liryzm pierwszej sceny aktu Igo, będącej brylancikiem poetycznym najczystszej wody— zresztą trudno się uchronić od pewnego wrażenia ckliwości, jak znowu scena, kiedy Klaudya wije się w rozpaczy pomiędzy Rodrygiem i Klemensem, wydaje się nazbyt przedłużoną i bierze zbytnie na tortury nerwy widzów... Najmniej już jednak da się usprawiedliwić wprowadzenie na scenę karczemnego duetu Filipa z Katarzyną. P. K. czuł potrzebę wprowadzenia humorystycznego żywiołu w sztukę dla rozpogodzenia nazbyt posępnej akcyi, ale nie splątawszy żadnym węzłem logicznym obu tych grup postaci (Klaudya, Rodrygo, Klemens z jednej — Filip i Katarzyna z drugiej) rozdwoił interes wrażenia bez celu i bez skutku. Używał takich efektów komicznych Szekspir dla ilustrowania głównej akcyi, ale w „Klaudyi“ stosunek cały tak jasny, że ilustracyi nie było potrzeba, a rzecz przydługa znacznieby się skróciła. Sztuka na tem by zyskała, bo tak, jak jest, razi ubóstwem dramatyczności. Podnosimy jednak zawsze nakreślenie charakterów pełne i wydatne, pomysł, chociaż w całości nie świeży, ale z nowego punktu widzenia rzecz rozwiązujący, wreszcie poetyczność obrazu.

Wykonanie dramatu nie mogło nas zadowolić. Pani German (Klaudya) wystudyowała charakter jej sumiennie, przedstawiła go rozumnie, a w kilku epizodach zdołała nawet znaleźć trafny wyraz dla gry wewnętrznej, ale że nie umiała powlec całej roli namiętno-poetycznym kolorytem z pod nieba włoskiego, że scen rozpaczy nie uwydatniła głębszym wyrazem, któryby porywał i o rzeczywistem wstrząśnieniu całej duszy artystki świadczył, że nie nadała szlachetności tragicznym pozom, ani przeźroczystości wyrażeniu, to po części jej winą, po większej zaś części błędem reżyseryi, która czasem wpada na pomysły dawania ról takich pani German, artystce zawsze pracowitej i zawsze cennej, ale na innem polu. P. Królikowski (Rodrygo) oddał chwilę rozpaczy ze szczerym wyrazem, ilekroć dawał się porwać całkowicie własnej naturze, gdzie zaś hamował jej bezpośrednie wynurzenie się sztuką, tam raził ckliwym patosem i próżną deklamacyą. P Szymański (Klemens) ubarwił w samą miarę pierwsze ustępy roli kolorytem rzewno-namiętnym, ale zato w scenach aktu IIgo z Rodrygiem grał za szorstko tak w ruchach, jak we wyrazie głosu. Nadanie wybuchom gniewu tak pospolitej szorstkości jest zadaniem dla artysty nazbyt łatwem, a więc i płytkiem. Pani Linkowska (Katarzyna) i p. Dębicki (Filip) grali z pełną naturalności werwą; pierwszej radzilibyśmy tylko ucharakteryzować się mniej powabnie i grę mimiczną uczynić więcej urozmaiconą...

Bronisław Zawadzki.

Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

FILOZOFIA. Właśnie rozpoczął się druk dzieła Dr. Klemensa Hankiewicza „*Etyka filozoficzna.*“ Dzieło to opracowane na podstawie systemu Libelta traktuje o filozofii woli czyli t. z. filozofii moralnej i ma posłużyć niejako za dopełnienie badań Libelta, który dotąd nie opracował działu etyki filozoficznej.

— *Paul Janet. Histoire de la science politique dans ses rapports avec la morale.* 2de ed. Paris. Ladrange. 1872. Myślą przewodnią autora jest wyrozumowana i głęboka wiara w postępowy rozwój zasad słusznych i cywilizacyjnych pośród nieskończonej rozmaitości błędnych systemów. Czytanie tej książki może dać chwilę błogiego uspokojenia w obec wstrząsających dzisiejsze umysły starć na polu myśli i faktów. *(Rev. d. deux m.)*

HISTORYA. *Dzieje narodu polskiego w krótkości zebrane przez Teodora Morawskiego.* Tom V. *Stanisław August.* Poznań. Żupański. 1872. Ponieważ rys dziejów porozbiorowych rozpoczął to wydawnictwo, przeto tom powyższy jest zeń ostatnim.

TEATR. Z wielu stron nas pytają, jakie zajmiemy stanowisko w obec nowej Dyrekcyi. Pytanie dziwne. Jakież inne, nad stanowisko słusznych wymagań i sprawiedliwego uznania... Raczej należy pytać, czy nas cokolwiek uprawnia do nadziei, że teatr będzie dobrym? Otóż sądzimy, że pod pewnym względem dziś już odpowiedzieć należy: tak. Faktem, ulegającym dyskusyi, jest dopiero skład grona artystycznego, który teraz (mówimy to śmiało!) po zaangażowaniu pana K. Królikowskiego i panny Deryng wszechstronnie już zadowala. Jeżeli tylko kierunek będzie świadomym zadań sztuki, natenczas teatr lwowski niedługo już podniesie się do wyżyny prawdziwie artystycznej. Dlatego otworzymy w *Świecie* stałą rubrykę sprawozdań teatralnych.

— Na *konkursie dramatycznym krakowskim* przyznano pierwszą nagrodę (400 zlr.) komedyi J. Narzymskiego: „*Pozytywni.*“ drugą (200 zlr.) wodwilowi Aleks. Ładnowskiego: „*Skarby i upiory*“ (3cia część: „Krakowiaków i Górali“).

ROZMAITOSCI. Bawił we Lwowie przez kilka dni ks. kan. *Dominik Sztulc* z Pragi, słynny tłumacz na język czeski „Pana Tadeusza“ i „Konrada Wallenroda.“ Deputacya towarzystw akademickich złożyła mu hołd w imieniu młodzieży lwowskiej.

Wydawcy: Romuald Starkel i Bronisław Zawadzki. Redaktor odpowiedz. Zyg. Ulanowski. Z drukarni J. Dobrzańskiego & K. Gromana.